

Nawrót Średniowiecza

Autor tekstu: **Stefan Rieger**

„Gdy kultura przeczuwa, że zbliża się jej koniec, posyła po księdza”
Karl Kraus, 1874-1936

Minął już czas żałoby i myślę, że byłoby zdrowo wybić maleńką szczelinę w nazbyt szczelnym murze nabożnej jednomyślności. Już zresztą sama rzeczywistość mnie wyręczyła, czyniąc taką symboliczną wyrwę i wyszczerzając przez nią swe zepsute zęby: kibice na stadionach (nawet w Krakowie, stolicy polskiego cierpienia), którzy po śmierci papieża obiecywali poprawę i na zgodę wiązali się szalikami, w dwa dni później się pobili, a szaliki spalili. Coś tu nie pasuje: „albo obrazek do pucla, albo pucel do obrazka”, jak śpiewał Młynarski.

Jeszcze długo będziemy medytować nad tym, co działo się w ostatnich tygodniach. Garść stymulujących refleksji rzucił w telewizji filozof i mediolog Regis Debray, wirtuoz celnej formuły, który kilka swych ostatnich esejów poświęcił Bogu i religii. W swej najnowszej książce, zatytułowanej „Ludzkie komunie” (czy jak kto woli: „zgromadzenia”), stara się rozszerzyć pojęcie „religijności”. *Religare*: to, co łączy, w sensie etymologicznym. Ludzie garną się k'sobie, w imię czegoś, lub przeciw czemuś. Niekoniecznie w imię Boga: nacjonalizm, partie polityczne, związki zawodowe, kluby albo i *cyber-plemiona*, powstające spontanicznie za pośrednictwem Internetu też służą owej „ludzkiej komunii”. Niezbędny jest tylko zewnętrzny „hak”, na którym zawiesić można wspólne lęki, nadzieje i dążenia: federujący element symbolicznej transcendencji — obraz, idea, historyczna data, nieprzeciętny człowiek - wszystko, co przemienia „kupę” (kupa, mości panowie!) w „całość”, czyli wspólnotę.

Owczy pęd

W wieku XX *sacrum* przeprowadziło się z religii do polityki, starając się uświęcić doczesność, tu i teraz, i nadając przyszłości kształt rajskiej asymptoty, czyli *świeckiej gnozy*, z wiadomymi skutkami. Dzisiaj, wobec kompromitacji lub uwiądu tyleż dwuznacznych ideologii, co wszelkich tradycyjnych wspólnot (rodzina, szkoła, armia, Kościół, partie, związki czy harcerstwo), sponiewierane *sacrum* wraca na powrót do kolebki, czyli religijności tradycyjnej. Znamy dziś na wylot, przynajmniej tak nam się wydaje, mechanizmy owej „transcendencji”. Wiemy, lub powinniśmy wiedzieć, jaka jest w tym funkcja obrazu, idei, historycznej daty, nieprzeciętnego człowieka. Mało tego: znamy psychologię i dynamikę *tłumu*, i powinniśmy być już zaszczerpieni. Ten, kto przeżył naprawdę wiek XX, odrzuca raz na zawsze *kult jednostki* i boi się tłumu. Wie, że tłum nie jest sumą jednostkowych inteligencji — więcej w tym *odejmowania*, niż dodawania i mnożenia - z wielokrotnieniem ulega jedynie jego siła, na dobre i na złe, wystarczy zmienić znaki i podstawić tłumowi pod nos nowy cel, *ersatz* transcendencji, by przetoczyć go na tor apokalipsy. Dzisiaj już warto zdystansować się od uczuć, wziąć pod lupę własne emocje.

Oczywiście nie należy też lekceważyć tego, co Regis Debray nazywa „afektywnym głodem” tłumu, spragnionego charyzmy i autorytetu. Odżywa z mocą tęsknota za Ojcem, coraz bardziej nieobecny w naszym społeczeństwie *matczynym i matkującym*, w którym wszelkie autorytety uległy rozpuczeniu czy dezintegracji. Szukamy w (nomen omen) Ojcu Świętym owego „ojcowskiego superego”, jakiego nie znajdujemy już w swoim otoczeniu. Ale warto zrozumieć ów mechanizm *owczego pędu*, stada podążającego za Pasterzem. Zadanie niełatwe, mocno destabilizujące. Regis Debray reaguje ze zdumieniem i niedowierzaniem: toż to „bezpośrednia transmisja ze Średniowiecza”, powiada: zwykle oczekiwano wiek lub dwa, by nadać komuś znamię *świętości*, była to symboliczna *rekonstrukcja*, nadająca zdarzeniom lub postaciom z przeszłości wymiar *legendarny*. Otóż dzisiaj mamy do czynienia ze swego rodzaju *legendą live*, mitem urzeczywistniającym się w czasie realnym, na naszych oczach.

Ikony i idole

Niemożliwy jest żaden dystans, żadna mediacja rozumu — gdyż elektroniczne media naszej ery, żerujące na natychmiastowych i efemerycznych emocjach — sakralizują każdą, przemijającą chwilę, zdolną przytrzymać konsumenta i nabić kasę. Katolicyzm jest w tej grze nader wdzięcznym partnerem, gdyż od wiek wieków ma talent do obrazów. Od Soboru Racionalista.pl

Nicejskiego w VIII wieku, który obalił Mojżeszowe tabu, zakazujące przedstawiania tego, co czerpie swą siłę ze swej niewidzialności, Kościół katolicki zrozumiał, że jego strategia podboju musi być *obrazkowa*, gdyż świat, w olbrzymiej większości, zaludniony jest przez analfabetów. Gdy papież Grzegorz VII mówił o witrażach jako o „Biblii dla idiotów” (dzisiaj witraże zastąpiła telewizja...), nie było w tym na pozór nic pogardliwego: była to pragmatyczna strategia ewangelizacji poprzez obraz, dający dostęp do Pisma. To przedsięwzięcie wtajemniczenia, droga na skróty ku prawdzie objawionej. Czy jednak aby z tej drogi nie ostał nam się dzisiaj jeno *skrót*? Ostał ci się, chamie, jeno skrót? A nawet mniej, niż skrót — gdyż Regis Debray widzi na przykład w tym papieskim, planetarnym happeningu nawrót do pogańskich, bałwochwalczych tradycji, do myślenia *magicznego*, któremu się marzy powtórne *zaczarowanie świata*, by posłużyć się językiem Marcela Gauchet, mądrego socjologa. Każdy z nas pragnie powtórnego zaczarowania świata, ale czy to myślenie magiczne musi oznaczać abdykację z rozumu i z przywileju *wolnego myślenia*, zapewne jedyne przywileju, jakim cieszy się lub martwi rodzaj ludzki, do odwołania, w zestawieniu z resztą ożywionej materii? Nie musi, ale może — niestety — i wydarzenia ostatnich tygodni nazbyt boleśnie nam o tym przypominają. Albowiem media nie zadowolają się podstawianiem nam pod nos obrazów: zgodnie ze swą logiką komercyjnych mediów, czyli prehistoryczną logiką złotego cielca — przemieniają ikony w idole. Obraz, czyli ikona, to okno na świat niewidzialny, zachęta ku wyjściu naprzeciw tajemnicy. *Idol* to ktoś, kogo wielbi się dla niego samego. Jakby sam był Bogiem, lub jego ucieleśnieniem.

Medialne tsunami

„Kiedy wreszcie nastąpi rozdział Kościoła od mediów?” — pytał w tych dniach tygodnik satyryczny *Le Canard Enchaîné*, reagując kwaśno — jak wielu Francuzów — na to „tsunami łez i wody święconej”, które zmiotło wszystkie inne tematy. Nie wyobrażam sobie takiej publicznej reakcji w Polsce, choć tam tsunami było po stokroć silniejsze. Takie głosy, całkiem liczne, znaleźć można tylko w grupach dyskusyjnych w polskim Internecie - do sfery publicznych mediów nie miały żadnej szansy się przebić. Ale we Francji, głęboko zeświecczonej, próg tolerancji jest najwyraźniej dużo niższy, a wolność słowa mniej skrepowana. Nie mam na myśli żalostnej, infantylnej polemiki wokół sposobu, w jaki świecka republika uczciła śmierć papieża, spuszczając flagi do połowy masztu: to archaiczna czkawka Jakobinów, odgrywających wciąż to samo przedstawienie sprzed z górą stu lat. Ich akurat nagłościono, ale dużo mniej widoczna była fala protestów oddolnych przeciwko „papatryi”, „bałwochwalstwu”, „przedawkowaniu” tematyki religijnej i dewocyjnej jednomyślności. Sformułowania nie pochodzą ode mnie, tak dawali wyraz swym uczuciom przesytu i desperacji telewidzowie, słuchacze i czytelnicy (w tym i wielu praktykujących katolików). którzy setkami wydzwaniali do radiostacji i pisali do redakcji gazet. Telewizja, twierdza samouwielbienia i arogancji, głosów krytycznych z reguły nie przepuszcza. Ale nawet i na szklanym ekranie — przynajmniej na tych kanałach, które ratują honor telewizji, jak ARTE czy edukacyjna Piątka — toczyły się przez cały czas zażarte, merytoryczne dyskusje.

Nad niespodziewanym, planetarnym fenomenem, jaki wywołała czy może unaoczniała śmierć Jana Pawła II-go, pochylają się zaintrygowani socjologowie, filozofowie i teolodzy. Zapewne i w Polsce przyjdzie na to czas, choć zdolność do samoanalizy nie jest najmocniejszą stroną Polaków. O taki dystans, czasem bezmyślny, często zdrowy, z pewnością dużo łatwiej we Francji, gdzie istnieje solidny bufor świeckiego sceptycyzmu. W końcu nie przypadkiem bluźnierczy „*Traktat z ateologii*” filozofa Michela Onfray jest tu od wielu tygodni największym z bestsellerów. Ale nie popadając w niesmaczną dziecinadę, żywiąc największy szacunek dla papieża i rozumiejąc uczucia wierzących, można mimo wszystko zdystansować się od tego, co razi nawet wielu katolików: zalew kiczu i odpustowej ikonografii, fasadowa bogobojna jednomyślność... Jakże nie być zaszokowanym niezmierną hipokryzją mediów, ich koniunkturalnym cynizmem? We Francji, gdzie od lat wymachiwały jeno prezerwatywą, drwiąc z papieża i religii katolickiej (byle nie tykać judaizmu i islamu, bo to niebezpieczne), a teraz leją hektolitry wody święconej. A w Polsce, gdzie na co dzień zajmują się opluwaniem, szczuciem, wymóżdżaniem — a dzisiaj nie powstają z klęczek i na ustach mają jeno miłość? I ani jednej myśli, informacji, merytorycznej kwestii — czysta liturgia kiczu. Pochwalił je za to prezydent Kwaśniewski: spisały się na medal, odkupiły wszystkie niegdysiejsze grzechy. Posypały sobie głowę popiołem, już więcej nie będą. Odtąd wszystko będzie inaczej, jak po „Solidarności”.

Mostrancja

Wszystko to nam uświadamia, mówił w pasjonującej dyskusji na Piątce Regis Debray, do jakiego stopnia *postnowoczesność* jest *przednowoczesna*, średniowieczna. W cywilizacji obrazkowej następuje infantylicyzacja myśli i zachowań. Obraz nie jest wehikułem rozumu, najwyżej emocji. Jak pisze antropolog Stephane Breton w mądrym eseju o telewizji, reprezentuje to medium, w swej esencji, „zerowy poziom komunikacji i myślenia”. Komentarze są jedynie replikami obrazów, nic nie jest umieszczone w kontekście, o niczym się nie debatuje, prezentując jeno asortyment „narcystycznych monologów”. Mówi się o świecie i społeczeństwie, które w rzeczywistości nie istnieją. Nie ma w telewizji przeszłości, związków przyczynowo skutkowych, nie ma żadnej *reprezentacji* świata — dokonuje się jedynie „mostrancji”, by użyć za Bretonem neologizmu o liturgicznych konotacjach. Czyż telewizja, w ostatnich tygodniach, nie przemieniła się w *ołtarz*?

Nie papież temu winny. Kościół nie wymyślił showbiznesu, nawet jeśli katolicyzm ma niewątpliwą, jak mówi Debray, *żyłkę optyczną* - zmysł spektaklu. Decyduje środowisko techniczne, *videosfera*, które rządzi się swymi własnymi prawami: samonapędzająca się machina, stwarzająca i przetwarzająca na zysk pragnienie bezpośredniego uczestnictwa, na gorąco, w misterium rzekomo wspólnie przeżywanej chwili. Kościół posługuje się jedynie instrumentami, jakie mu się oferuje, by propagować swe przesłanie. Ewentualne pretensje proszę kierować do *videosfery* i ludzi bez czci i wiary, którzy nią zawiadują.

Polskie nieszczęście

Pod jednym przynajmniej względem jest nawet gorzej, niż w średniowieczu. Wtedy istniała instytucja Błazna, któremu wszystko wolno. W dzisiejszej Polsce nawet Błaznowi nie wolno tykać jednego tematu: w kraju rzekomo bez cenzury istnieje wielka *strefa zakazana*. Strzeżona jest przez autocenzurę, zastraszanie, środowiskową presję. Najczęściej też przez głupotę. A w razie czego i paragraf się znajdzie. Przekonał się o tym na własnej skórze Jerzy Urban, gdy skazano go za znieważenie papieża. Nie będziemy dyskutować, czy to błazen, czy inteligentna świnia, w sumie nie ma to znaczenia: nie chodzi o moralność, lecz o demokrację i wolność słowa. Stawanie w obronie Urbana nie sprawia mi najmniejszej przyjemności, ale że zrobiło to wcześniej stowarzyszenie Reporterzy bez Granic, czuję się kryty.

Nie trzeba wcale zresztą się posuwać do „znieważania papieża”, znieważanie kogokolwiek jest nieładne i każdy ma prawo bronić w sądzie swego honoru (indywidualnie, nie zaś z pomocą państwa, które wyciąga swój *Paragraf 22*) — wystarczy szargnąć delikatnie jakąś świętość lub wjechać komuś na światopogląd, by zostać zlinczowanym. Przekonał się o tym Antoni Pospieszalski, nazywany przez niektórych „świeckim biskupem”, mądry i odważny starzec, człek wierzący i wybitny znawca teologii, który przez lata w paryskiej „Kulturze” pisał „bez namaszczenia o religii”. Pospieszalski został w styczniu niemalże zaszczuty, gdy ośmielił się napisać, że „pontyfikat Jana Pawła II był nieszczęściem dla Kościoła”, gdyż „odwrócił się od osiągnięć Soboru Watykańskiego II”, od zasad kolegalności i porozumienia, przywracając „rządy absolutu i jednostki”; gdyż trzymając się kurczowo celibatu wyścielił łożo pedofilii, gdyż zinstytucjonalizował hipokryzję, wyklinając środki antykoncepcyjne i zarazem przyzymkając oko na to, że większość katolików je stosuje... By już nie wspomnieć o prezerwatywie, jako ochronie przed AIDS, zwłaszcza w Afryce. Wszystko to należałoby rozwinąć i zniuansować, to i owo jeszcze dodać — o pustoszejących w Europie kościołach, o topniejących wciąż wpływach katolicyzmu w Ameryce Łacińskiej, Afryce i Azji pod naporem sekt i kościołów neoproteśtanckich, — ale nie o tym chcę mówić. Solidaryzuję się z Pospieszalskim, lecz jego troska o zdrowie Kościoła to nie jest, poniekąd, moja sprawa. Bliższa mi troska o higienę umysłową ludzkości, a najprzód Polaków. Dlatego też skłonny byłbym ująć to inaczej, chociaż nie mniej brutalnie: miniony pontyfikat był najpierw wielkim szczęściem, a potem nieszczęściem dla Polski.

Gombrowiczu wróć

Roli Jana Pawła II w obalaniu komunizmu nikt przy zdrowych zmysłach nie będzie kwestionował. Nawet gdyby niczego innego nie dokonał — a jakże wiele poza tym dokonał, by wspomnieć choćby o historycznym pojednaniu z judaizmem — z tego tylko tytułu zasługiwałby na wszystkie te pomniki, które wystawiono mu za życia, z trochę nietaktownym wszak Racjonalista.pl

pośpiechem (aczkolwiek najczęściej z jego przyzwoleniem). Wkrótce po wzlocie zaczęło się jednak dołowanie: w skrzydłach ubywało piór, a przybywało ołowiu. Szacunek i miłość do papieża rychło sparaliżowały wszelki zmysł krytyczny, nawet u tradycyjnych obrońców świeckości (jak „Gazeta Wyborcza” et consortes), którzy łącznie ulegli towarzysko-etycznemu szantażowi (rządy Suchockiej, religia w szkole, aborcja...), zezwalając na stopniowy ześlizg ku republice wyznaniowej. Nawet Czesław Miłosz, który wówczas odważnie przestrzegał przed „państwem wyznaniowym”, nie omieszkał potem udać się do Canossy. Najtęższe umysły uległy bezkrytycznej „papolatrii”, jak to określał Andre Frossard, skądinąd wielki przyjaciel papieża. Zagubione społeczeństwo, od furmana po Noblistę, znalazło sobie wreszcie Ojca, ulegając przyspieszonej infantylicyzacji. Papież, by ująć rzecz językiem Gombrowicza, Polaków *upupił*. Pozbawił ich zdolności myślenia o sprawach zasadniczych, we wszystkim ich wyręczając. Zaopiekował się ich umysłami tak troskliwie, że swą opiekuńczością je zadusił. Zresztą On sam, człowiek wielkiego formatu, nie byłby w stanie tego dokonać, gdyby nie miał na miejscu armii popleczników, a często i uzurpatorów, znacznie mniejszego kalibru, dbających głównie o swój interes. Czy można przyglądać się obojętnie temu, jak wędnie wolna myśl, jak sformatowany jest odtąd światopogląd, jak rozszerza się sfera *tabu*, w głowach i w życiu publicznym? Być może teraz, gdy opadnie fala emocji, wolna myśl będzie mieć znów szanse na odzyskanie. Może też dotrze do kogoś ów paradoks, nad którym bolał Jerzy Turowicz, lubiący powtarzać (jak i tylu innych), że „Polacy papieża kochają, ale wcale go nie słuchają”.

Podnieście się zapewne wielki krzyk: „Nie bluźnić! Nie ranić uczuć religijnych!”. Jeśli kogoś zraniłem, najszczerzej przepraszam, absolutnie nie było to moim celem. Ale odpowiem też na to: „Nie ranić uczuć wolnomyślicieli!”. Czy ktoś się kiedyś zatroszczył o uczucia niedowiarków? Choćby ich było tylko trzech. Demokrację poznaje się nie po tym, jak głaszcze z włosem większość, lecz po tym, jak dba o prawa mniejszości. Usłyszę też pewnie pouczenie: „Szanuj ludzi wierzących”. A dlaczego miałbym szanować ludzi wierzących? Szanuję ludzi *porządnych*. Jeśli głęboko wierzą i dają temu świadectwo swoim życiem — zasługują na szacunek (jak choćby Jan Paweł II). Jeśli nie wierzą, a postępują podobnie - tym bardziej. Wierzących byłbym nawet skłonny szanować *mniej*, gdyż im *łatwiej*. Ale tu już prześlizguję się w filozofię. Zapewne tego właśnie polskiemu katolicyzmowi najbardziej brakuje: odrobiny filozofii i metafizyki.

Wojny religijne

Często cytuje się słynne zdanie André Malraux o „wieku XXI, który będzie religijny, albo go nie będzie”. Ale rozumie się je opacznie: autor „*Nadziei*” nie miał na myśli religii, lecz duchowość. I co gorsza, sądząc po pierwszych latach tego stulecia, wszystko przepowiedział na opak. Z doszczętnie zmaterializowanych, skonsumeryzowanych, zglajchszaltowanych przez media społeczeństw wyparowuje wszelka duchowość, a odpowiedzią na dotkliwy brak sensu jest nawrót do religijności prymitywnej, wyrażającej lęk, nieufność lub wrogość: sekty i zabobony, anatemy i krucjaty, fundamentalizm i terroryzm.

Przeciw religii można ostatnio wytoczyć wiele armat. To zresztą dzisiaj *jej* specjalność — wytaczanie armat. Na przekór swemu przesłaniu miłości nie jest dziś, mówiąc oględnie, wiodącą siłą pokoju — mimo bezwzględnie pokojowego *credo* jej najwyższych kapłanów, poczynając od papieża. Nie zwalajmy wszystkiego na islam, to zbyt łatwe. Winowajców znaleźć można po obu stronach. Nawet Samuel Huntington, którego „*Szok cywilizacji*” wywołał tyle kontrowersji, uważa że Ben Laden i Bush są „współodpowiedzialni” za wywołanie nowej wojny religijnej. Warto też wiedzieć — gdyż apokaliptyczne fajerwerki, inscenizowane przez Szaleńców Bożych spod znaku Allaha przesłaniają dyskretną pracę od podstaw — że w konkurencji zwanej *prozelityzmem* ewangelicy biją dziś na głowę islamistów: niezliczone sekty i Kościoły neoprotestanckie, wyrosłe w większości na amerykańskiej glebie, w oszałamiającym tempie rozprzestrzeniają swe macki w Afryce, w Indiach, w Chinach i na całym Dalekim Wschodzie, dobierając się nawet (co wywołuje liczne spięcia, tworząc nowe, potencjalne zarzewia wojen religijnych) do krajów Maghrebu, jak Maroko czy Algieria. Oczywiście nie zamazujemy różnic: nie chodzi o to, by postawić znak równości między fundamentalizmem islamskim, a chrześcijańskim: jeden dąży do teokracji i zaleca *dżihad*, czyli podbój i nawracanie orężem, drugi wyznaje pacyfizm i święcie wierzy w demokrację. Różnice doktrynalne też są zasadnicze: integraliści chrześcijańscy chcą najprzód odmienić człowieka, by następnie oddziaływać na świat — integraliści muzułmańscy zabiegają zaś o stworzenie islamskiego państwa, a jeszcze lepiej: ponadnarodowej *ummy*, aby dowieść wszechpotęgi Boga. Ale w świecie, wydanym grze krzywych luster, ich odbicia wzajem się dialektycznie

dopełniają: jeden jest dla drugiego Szatanem, łączy ich wspólnota ekskomuniki i anatemy.

Nowa krucjata

Fundamentalizmy łączy zresztą znacznie więcej: gdy tylko czują, że są *masą*, starają się *zaważyć* na polityce, prawach, obyczajach... Zastępują państwo tam, gdzie ono abdykuje — w sferze socjalnej, w pomocy dla biednych i wykluczonych — co byłoby chwalebne, gdyby nie implikowało, w następnym rozdaniu kart, licytacji obyczajowo-prawnej, graniczącej z moralno-politycznym szantażem. Mamy bowiem do czynienia — co tu długo owijać w bawełnę — z nową moralną *krucjatą*, islamsko-chrześcijańską, przeciwko światu opanowanemu przez ateistyczny materializm. Świata wyzutemu z duchowej substancji, który na powrót trzeba *zaczarować*. Nie mam nic przeciwko powtórnemu zaczarowaniu świata, ale wolałbym go zaczarować inteligencją, sztuką i miłością, niż anatema, nienawiścią i bezduszością oszołomów, wielbiących okutaną dziewicę, ukamienowujących niewierną żonę i przedkładających żywot nienarodzonego kaleki nad zdrowie psychiczne, fizyczne i społeczną szansę przeżycia matki, czyli dojrzałego Człowieka, dysponującego prawem do błędu. Nie ma prostej odpowiedzi na pytanie, dlaczego — po paru dziesięcioleciach postępującej sekularyzacji — religia tak nachalnie wprasza się znów na forum publiczne.

Salman Rushdi jest tym przerażony. To, co wydawało mu się przed 15-stu laty *kabałą* przeciwko jego osobie, okazuje się dziś wyzwaniem, rzuconym w twarz każdemu z nas, wierzącemu pochopnie, że demokracja i sekularyzacja chronią nas po wsze czasy przed wszelkim odgórnym, arbitralnym dyktatem. Marcel Gauchet powiada, że „fundamentalizm to religijna riposta wobec świata, który na dobre rozwiódł się z religią”. Psychika ludzka, jak i natura, nie znosi próżni: po kompromitacji zrodzonych z Oświecenia ideologii postępu trzeba było czymś dziurę zatkać. Ale dlaczego zatykać ją zwietrzałym kitem, łata seksualnych kompleksów, nieustającym wskrzeszaniem figury *dominacji* jednej płci nad drugą? Zdecydujmy się, kochani: albo człowieka określa jego zdolność do uchwycenia tragizmu egzystencji - gnijące ciało *versus* wieczny duch — albo stara się on zorganizować cały, otaczający go świat w taki sposób, aby proces jego cielesno-moralnego gnicia przeszedł niezauważony, aby jego samczych instynktów żadne prawo nie poskramiało i aby ta hipokryzja, co więcej, stała się kanonem prawa.

Transcendencja

Rozumiem, że większości ludzi religia jest potrzebna, ale chciałbym przynajmniej, by mogli mnie wysłuchać, gdy wyjaśniam, dlaczego tak trudno mi się z tym pogodzić. O ile bowiem doceniam bezdyskusyjną, społeczną rolę religii, na przemian dobrą i złą — raz cement wspólnoty i pacyfikacja złych instynktów, raz opium dla ludu i złych popędów namaszczenie — o tyle na gruncie filozoficznym wydaje mi się abdykacją, jeśli nie kompromitacją umysłu. Proszę mnie źle nie zrozumieć: nie mam na myśli *religijności*, lecz religie ukonstytuowane i ich ziemskie instytucje. Nie wyobrażam sobie człowieczeństwa bez wymiaru religijnego: to wręcz jego wymiar podstawowy, zaraz po imponderabiliach — odżywianie się i rozmnażanie — decydujących o jego przetrwaniu. Tylko, że religijność — a może lepiej *transcendencja* - może wyrażać się wszędzie: w życiu, sztuce, filozofii, w poczuciu więzi z naturą. Co było najpierw: jajko czy kura? Argument, że na przykład wielka sztuka od wiek wieków łączyła się z religią i rozkwitała w promieniach Bożej łaski, z łatwością można odwrócić. To nie religia dodawała sztuce splendoru, lecz sztuka religii. Zgadzam się z Cioranem, że „bez Bacha, Bóg byłby postacią drugorzędną”. Wszystko jest w rękach zwierzęcia, zwanego Człowiekiem. Bogów lepi sobie na podobieństwo najlepszych z jemu podobnych istot, aby potem ich zawieść. A czasem na podobieństwo najgorszych i wtedy oni go zawiodą, szybko i skutecznie.

Zobacz także te strony:

[Kryzys papieżstwa](#)

Stefan Rieger

Ur. w 1951 r. w Krakowie. Krytyk muzyczny, dziennikarz Radio France Internationale (RDI) oraz publicysta "Tygodnika Powszechnego" oraz londyńskiego "Tygodnika Polskiego". Studiował filologię romańską na Uniwersytecie Jagiellońskim i historię filmu w

l'Ecole des Hautes Études en Sciences Sociales (EHESS) w Paryżu. Od 1981 roku mieszka we Francji, od 1983 r. pracuje w sekcji polskiej paryskiego RFI. Współpracował także z czasopismami: „Klasyka”, „Studio”, i in. Nominowany do Nagrody NIKE 1998 za wydaną przez słowo/obraz terytoria książkę ["Glenn Gould, czyli sztuka fugi"](#).

[Pokaż inne teksty autora](#)

(Publikacja: 09-05-2005 Ostatnia zmiana: 10-06-2005)

[Oryginał.](http://www.racjonalista.pl/kk.php/s,4125) (<http://www.racjonalista.pl/kk.php/s,4125>)

Contents Copyright © 2000-2008 by Mariusz Agnosiewicz
Programming Copyright © 2001-2008 Michał Przech

Autorem tej witryny jest Michał Przech, zwany niżej Autorem.
Właścicielem witryny są Mariusz Agnosiewicz oraz Autor.

Żadna część niniejszych opracowań nie może być wykorzystywana w celach komercyjnych, bez uprzedniej pisemnej zgody Właściciela, który zastrzega sobie niniejszym wszelkie prawa, przewidziane w przepisach szczególnych, oraz zgodnie z prawem cywilnym i handlowym, w szczególności z tytułu praw autorskich, wynalazczych, znaków towarowych do tej witryny i jakiegokolwiek ich części.

Wszystkie strony tego serwisu, wliczając w to strukturę podkatalogów, skrypty JavaScript oraz inne programy komputerowe, zostały wytworzone i są administrowane przez Autora. Stanowią one wyłączną własność Właściciela. Właściciel zastrzega sobie prawo do okresowych modyfikacji zawartości tej witryny oraz opisu niniejszych Praw Autorskich bez uprzedniego powiadomienia. Jeżeli nie akceptujesz tej polityki możesz nie odwiedzać tej witryny i nie korzystać z jej zasobów.

Informacje zawarte na tej witrynie przeznaczone są do użytku prywatnego osób odwiedzających te strony. Można je pobierać, drukować i przeglądać jedynie w celach informacyjnych, bez czerpania z tego tytułu korzyści finansowych lub pobierania wynagrodzenia w dowolnej formie. Modyfikacja zawartości stron oraz skryptów jest zabroniona. Niniejszym udziela się zgody na swobodne kopiowanie dokumentów serwisu Racjonalista.pl tak w formie elektronicznej, jak i drukowanej, w celach innych niż handlowe, z zachowaniem tej informacji.

Plik PDF, który czytasz, może być rozpowszechniany jedynie w formie oryginalnej, w jakiej występuje na witrynie. **Plik ten nie może być traktowany jako oficjalna lub oryginalna wersja tekstu, jaki zawiera.**

Treść tego zapisu stosuje się do wersji zarówno polsko jak i angielskojęzycznych serwisu pod domenami Racjonalista.pl, TheRationalist.eu.org oraz Neutrum.eu.org.

Wszelkie pytania prosimy kierować do redakcja@racjonalista.pl